

ROK I

Nr 6

SKAWA

CZASOPISMO LITERACKIE

JULJA WIELEŻYŃSKA	Cywilizacja a kultura
JÓZEF CZERNI	Żebrak swej krwi
S. I. WITKIEWICZ	Klan wyjącego psa
ROSA BAILLY	Stary przewodnik
JANINA BRZOSTOWSKA	Za lat miliony (powieść)
RYSZARD HAJDUK	Zmierzch
MIECZYŚLAW ORSKI	O pomnik poecie
ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI	Miara dystansu
M. MOROZOWICZ SZCZEPKOWSKA.	Noty z teatru
Z KSIĄŻEK	
PLEBISCYT: „Kogo nie wolno pominąć w antologii poezji polskiej 1918 — 1940 r.”	
BIULETYN K. O. J.	
U PISARZY I W REDAKCJACH	

CZERWIEC

WARSZAWA

1939

CENA 50 GR.

SKAWA

Miesięcznik literacki

pod redakcją

JANINY BRZOSTOWSKIEJ

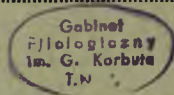


ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA: UL. NOWOGRODZKA Nr 23, m. 5. TEL. 9-55-88

Godziny przyjęć redakcji: wtorki 5-7

Cena numeru pojedynczego	0.50 gr.
W prenumeracie rocznej	6.- "
" półrocznej	3.-

wraz z kosztami przesyłki i opakowania.



S K A W A

Nr 6

1939

JULJA WIELEŻYŃSKA

CYWILIZACJA A KULTURA

Cechą cywilizacji jest, jakieśmy już przedtem widzieli, ciągłe przybywanie, narastanie, motoryczność, to co u Spenglera koniec końców doprowadza do przesilen, jako do zjawisk niezbędnych i okresowo wracających. Każdy dzień, każda godzina dodaje nieostrzeżalny pyłek i każda natychmiast wchłania w siebie i wsysa tę pierwocinę czy nowość w stan posiadania. Każda chwila powierzchnią swoją wystawiona jest pod obuch nowości i każda daje nowonarodzonemu żywiącą krew wspólności, trwałego dobra. Może dlatego nie zdajemy sobie jasno sprawy z ciągłego wyskoku naprzód, że w tej chwili mamy możliwość zmagazynowania każdego zjawiska językowo i pojęciowo. Wszelkie nowe wyrażenie, nieużyte dotąd porównanie czy obraz dla objawienia uczuć znanych, atoli dla każdej jednostki jedynych, jest odkryciem, nowością, jak inne, utarte dzisiaj i zmechanizowane, były kiedyś odkrywcze i posuwające. Tak samo każdy panujący obyczaj, każda interpretacja z chwilą przyjęcia jej przez ogół staje się kapitałem społecznym, spólną kasą duchową ludzkości, więzią zbiorową, czemś uspakajającym, dającym pewność. Są jednostki ludzkie bardziej wrażliwe na zmienność, które czują, że πάντα βέτ, inne widzą bardziej powtarzalność, i te twierdzą, że nic nowego pod słońcem, że wszystko to już było. I jedne i drugie mają słuszność — w połowie. Albo wyraźniej: są jednostki motory i jednostki opory, a życie to wypadkowa.

Naogół biorąc, w pewnym wybranym obrębie powierzchnia cywilizacyjna jest dla wszystkich jednakowa, kultury odskakują od siebie dobitnie. Np. Warszawa. W ogromnej swojej większości żyje

jednym i tym samym dniem cywilizacyjnym: korzysta z tych samych udogodnień, urządzeń, wynalazków, poczty, telefonu, telegrafu, kolei, elektryczności, a jednak nieraz jej mieszkańców oddzielają wzajemnie całe piętra kulturalne, całe stulecia, od cofnięć myślowych i wyobrażeniowych niemal w średniowiecze, do cyplów wysuniętych w czas, który jeszcze nie nadszedł.

Tak rzecz wygląda, póki patrzymy w jeden dzień, w przekrój, w zwykłą datę bez wydarzeń. Ale każdy taki dzień ma czasem zupełnie luźne, czasem ciasne ramy, których jeden bok nazywa się tradycją, drugi rewolucją. Tradycja to niejako odwłok, który kultura ciągnie za sobą, rewolucja zaś skrzydło, którym od czasu do czasu ciało społeczne się podrywa. Ewolucja, powolne przesuwanie się, łączy oba boki. Rewolucja jest widzialnością ewolucji, ewolucją w iluminacji, czy ewolucją postawioną na baczność. Przeciwnie, tradycja i opór przeciw rewolucji jest staniem na baczność pierwiastków gwarancyjno-komunikacyjnych, rezerw, które w dzień powszedni chodziły w zautomatyzowaniu, a dostawszy „ricochetem” iskrę od iluminacji rewolucyjnej, zarumieniają się świadomością, przed ostatecznym odkomenderowaniem między przeżytki. Masa tradycyjno-obyczajowa, umysłowa i moralna, nieznosząca na sobie rażących oświeleń wojującego o nowość dnia, wzdyma się, groźniej jak żywa istota w pozycji obronnej. W rzeczy samej trudno nam wczuć się, że wartości najszanowniejsze, wczoraj zażębione o rzeczywistość, dziś są jak kwiat zerwany, trzymany w ręku, pięknie jeszcze pachnący, zwłaszcza dla niektórych gustów, ale już rozłączony z naturalnem podłożem. Tradycja to kwiat wędnący w wazonie — po wczorajszym świecie.

Sama kultura byłaby to pieśń bez basu, czysta melodia, głos wyjęty z zespołu, zatem wiotki i nieoparty. Kultura sama jest bezkonturowa, natomiast sama cywilizacja jest jedynie obrysowaniem, które trzeba wypełnić treścią, jest li-tylko obręczą bez rytmu, bez krwi. Jest nagim klepiskiem, czekającym na ogrodnika i faktycznie każda cywilizacja historyczna zakwiecała się czy zarastała murawą wartości kulturalnej — samem życiem. Ponieważ jednak kierunki obu są wprost przeciwne i zestrój może stać w pozornym spokoju tylko do pewnej miary, muszą wynikać owe kataklizmy, rewolucje, niekoniecznie spenglerowskie zmierzchy i ponowy, ale wyjście cywilizacji poza dotychczasowe ramy. Potrzeba rozśrubować te ramy, aby wziąć w siebie więcej, zagarnąć kultury wegetujące jeszcze w dniu cywilizacyjnym, który wyprzedził swoją wewnętrzną treść. Taki jest jeden ze schematów rewolucji, bywają przykłady mieszane, bywają także kultury zrewoltowane przeciw cywilizacjom. Zobaczymy te różne warjanty w skrócie, idąc przez historję.

Przedtem jednak chciałabym zaznaczyć, że rozłożenie samych pierwiastków nie jest wszędzie równomierne. Są rasy, narody, rozdziały historyczne o piętnie bardziej cywilizacyjnym, albo bardziej kulturalnym. Nie wchodzę w tej chwili, bo i nie potrafiłabym zgłębić, dlaczego tak jest; patrząc jednak np. na Indje, wyraźnie czujemy ogromną przewagę w nich strony kulturalnej nad cywilizacyjną. Nieruchomość dziejowa Indyj, właściwie brak historii, samo piętno ich filozofji i twórczości artystycznej, to niemal „czysta” kultura. Cywilizację do Indostanu wprowadzili anglicy, a przecie kulturalnie indusi, dzieci niemal wobec cywilizacji Wielkiej Brytanji, czynią wrażenie arystokratów. Drugą ilustracją mogą być Chiny, kulturalne z istoty swojej wobec niezwykle uzdolnionej cywilizacyjnie Japonji. Cały dramat, jaki się między niemi rozgrywa, jest oparty na różnicy tych dwu psychik. Assyryja, a więcej jeszcze Babilonja i Egipt, to wielkie potęgi cywilizacyjne. Stworzyły i swoje kultury napewno, ale my się do nich dostajemy teraz poprzez szczątki ich cywilizacyj. Obok nich Palestyna rozwinęła swoistą kulturę, cywilizacyjnie zaś sama poddała się babilończykom. Żydzi z jednej strony cierpieli przez nich jako słabi wobec mocnych, jak chińczycy wobec Japonji, z drugiej zawdzięczają im samo *sacrosanctum* swojej kultury: świątynię jerozolimską. A na tle tej kultury, możliwie wyłuskanej z cywilizacji, jeszcze widzimy stopniowania, wśród nich najklarowniejszą, krańcową postacią był ruch esseńczyków, ten na którym zapączkowało chrześcijaństwo. W Grecji, tej wyjątkowej i niepowtarzalnie pięknej harmonji cywilizacji z kulturą, także uderza światłocień. Harmonja szczyt swój osiągnęła w Atenach, chociaż tonacyjna była w Attyce więcej kultura; Sparta, przeciwnie, ukazywała raczej nagi kształt cywilizacyjny; zato wyspy i kolonje zakwitały kulturalnie, te zwłaszcza, które dały nieśmiertelną lirykę. Rzym wobec Hellady był potęgą cywilizacyjną, kulturę właśnie świadomie zaszczerpił sobie helleńską. Był największą cywilizacją świata przed naszą erą.

I w te potężne mury cywilizacyjne uderzył, a dokładniej wionął kulturalną rewolucją duch semicki, wyrażony w młodziutkiem chrześcijaństwie. Cywilizacyjnie był ubożuchny, a nawet samowiednie cywilizacją gardził. Jego zwycięstwo nad Rzymem jest jednym z najbezwzględniejszych i najciekawszych zwycięstw kultury nad cywilizacją. Rzym runął, zapanowało, jak uczy utarta karta historyczna — barbarzyństwo. Ale dokładniej żyły wtedy na świecie same kultury — bezład niespokojnych kultur, z których jedne uczuły na sobie dotyk krystalizującej cywilizacji rzymskiej, inne trwały, prawie przez nią nie musnięte. To kultury celtycka, germańska, słowiańska, słabe, niedopowiedziane, z wyjątkiem najtęższej pewnie z nich celtyckiej, która zdobyłaby się na własny kształt cywilizacyjny, gdyby jej nie był przed czasem nadwątlił podbój

rzymski. I oto jedna z nich, chrześcijańska czy żydowska w parafrazie, napływowa i zamiejscowa, azjatycka pątnica, „kultura bez ziemi“, bo radykalnie oderwana od własnego gruntu, miała taki instynkt życiowy, że na swe wiotkie barki wzięła wielki ciężar podbitej cywilizacji rzymskiej, wessała się w nią, weszła w jej niezmartwiałe jeszcze pory, i wypaczając ją dokładnie, w pewnym znaczeniu zabalsamowała ją dla dalszej historii świata. Bo teraz już ona sama w konturze czy oprawie rzymskiej a może lepiej — ze szkieletem rzymskim, jako *cywilizacja*, — ruszyła przeciw owym słabym kulturom za-alpejskim, które dały jej się w tym dobrym pomysle uprzedzić i dalej trwały na poziomie kultur. Chrześcijaństwo, jako cywilizacja, podbiło je wszystkie i zjednoczyło w nowej wspólnej postaci cywilizacyjnej, która i nas już na dwa bez mała tysiące lat ogarnęła.

Chrześcijaństwo nie wytworzyło własnej cywilizacji, która wynikałaby z jego kultury, wzięło ją zzewnątrz. Przedzierzgnięcie się chrześcijaństwa ewangelicznego, pierwotnego, w kościół, było przejściem z pod znaku kultury pod znak cywilizacji, ale cywilizacji o obcym kościecu. Zaznaczano wielokrotnie, że było to zarazem sprzeniewierzenie się samemu sobie. Właśnie ze stanowiska, które tutaj roztrząsamy. Nawet prozelityzm, powiedzmy dokładnie, katolicki, misjonarstwo, to duchowe potomstwo podbójczego Rzymu. Kościół bizantyjski, wyrosły bez korzenia rzymskiego, nie był misjonarski, lub stawał się dopiero w orbicie polityki państw, które go przyjęły (prawosławie). Rzym chrześcijański, nadając jednolite oblicze cywilizacyjne światu, pozwolił narodom żyć tylko niedobitkami rodzimych kultur, które w początkach długi, opornie i boleśnie ustosunkowywały się do upodobniającej cywilizacji, choćby i nasza Polska. Oba prądy po dziś dzień równie mocno w sobie czujemy. Przez większą część ery chrześcijańskiej indywidualizmy narodowe wegetowały, zaniedbane, niedostrzeżone, „prowincjonalne“, dopiero zeszły wiek upomniał się o nie przez romantyzm, nasz, idąc jeszcze o krok dalej, przez regionalizm.

Jak chrześcijaństwo ewangeliczno-kulturalne podminowało cywilizację rzymską, tak pod cywilizację chrześcijańską zaczął się po wiekach ryć prąd kulturalny — humanizm. Był to ruch czysto intelektualny, jak chrześcijaństwo swego czasu było prądem etycznym. Na razie wracano tylko do dawnych mistrzów, dawnego piękna, dawnej myśli i stylu, a jednak dzięki temu ruchowi w wieku XIV i XV kultura znacznie wyszła poprzód cywilizację, chociaż pozornie miała spojrzenie obrócone wstecz. Humanizm na tle średniowiecza jest, jak chrześcijaństwo na tle Rzymu, rewolucją kulturalną. Ale z humanizmu narodziło się Odrodzenie, wielki ruch odkrywczy, świat się rozrósł, wywspaniał, wystrzelił daleko poza świat cywilizacji dotychczasowej; wtedy dopiero stanęła cywilizacja przeciw cywi-

lizacji, zaczęła się walka. Nie trzeba przypominać różnych faz zwycięskich po jednej stronie, obronnych, aż po inkwizycję, po drugiej. Cywilizacja odrodzeniowa poprzez filozofję nowożytną doszła do stworzenia nowej kultury: oświecenia, racjonalizmu. Ale szczątki pokonanej dawniej cywilizacji trwały jeszcze. Instytucje te same, które rozrosły się na glebie średniowiecza, mocno zaryte były w grunt społeczny i gospodarczy XVIII stulecia. Podkopana na przestworzach przyrody i myśli oderwanej, cywilizacja ta pokutowała w feudalizmie. Nowe starcia, nowa walka — rewolucja francuska, z naszego punktu obserwacyjnego jest trudna do ujęcia w jeden chwyt. Może przyda się podejść do niej drogą okólną.

JÓZEF CZERNI

ŻEBRAK SWEJ KRWI

*Zabili mnie dziwni bandyci
(Rzut pęłli na szyję i huk!),
pamiętam tylko — niebo o świecie
zbladło nade mną jak trup.*

*Zabili mnie za to, żem wołał,
pięściami zatkali mój krzyk,
błuźnili pomiętym w łzach słowom,
przeżuwszy na zębach ich zgrzyt.*

*Zduszony brutalnie jak ścierwo,
podarty na strzępy i krew,
wtopiłem się w mokrą czerwień,
żebrak, proszący o chleb.*

*Aż dzień przebudzony mnie dojrzał,
zawołał imieniem — na szczyt!
niemocy wydarłszy się węzom,
powstają — z ziemi swych żył.*

KLAN WYJĄCEGO PSA

Jeszcze jedna z rzeczy ważnych w każdym ustroju społecznym: „klan wyjącego psa” tryumfuje nad t. zw. „intelektualistami”, którzy są potrzebni wszędzie: problem radja.

Kiedy mi pierwszy raz o radju opowiadał pewien snardz *) (znakomity zresztą rzeźbiarz), odrazu pomyślałem sobie, że coś jest niedobrze. Jako człowiek pracujący głową, nie znoszę zbytecznych, zorganizowanych hałasów, które tak znakomicie umajają życie przeciętnie bezmyślnemu stadu. Dla muzyki, jako dla Czystej, nie bebehowo pojmowanej Sztuki mam najgłębszy szacunek, jak dla każdej ze sztuk wogóle, mimo, że ich sam prawie obecnie nie potrzebuję, ale jak to wspomniałem wyżej, 1) wogóle zobojętniałem dla sztuki, widząc, że naprawdę się kończy, a 2) z muzyką jestem w złych stosunkach osobistych: przestałem ją muzycznie pojmować i albo mnie nudzi, jako nieartykułowany chaos, albo nieprzyjemnie bebehowatym swym elementem denerwuje. Ale to, co się dzieje z radjem jest szkodliwe dla muzyki jako dla sztuki i szkodliwe dla całej ludzkości, jako załupienie denerwującym lub usypiającym wszelką czujność wewnętrzną, co do oceniania wartości, hałasem. Sam czułem, że dla muzyki to nie jest dobry wynalazek: może ją popularyzować, ale musi obniżyć jej ogólny poziom — trudno — jest to zdaje się nie-do-uniknięcia i mimo, że muzycy, którzy w tej kwestji głos zabierali, zostaną przez „klan wyjącego psa” (t. zw. Ka-Wu-Pe) zakrzyczani, oni to istotnie rację w tej kwestji mają.

Wszyscy siedzą w biurach od rana — mało kto pracuje w domu, t. zw. „państwo” wychodzą i t. zw. „służba” puszcza sobie głośniki i gramofony od samego rana. Nawet w zimie, przy szczelnie pozamykanych oknach, wciska się wszędzie zmieszany, rozedrgany, bebehowy, zmysłowy rozgwar muzyczny, uniemożliwiający prawdziwe umysłowe skupienie. Wszystko jest przesycone drgającami na wierzchu krwawymi bebehami, które krzyczą, wyją, jęczą, zawodzą i ryczą. „Ta pani jest, słowo daję, cudna... ta chwila nigdy nie wróci... ten urok zabija niesamowitą rozkoszą... ta chodźmy tańczyć uroczne tango unoszące w niepowrotny żal minionych chwil... ta jak się pani ślicznie śmieje...” itp. itp. Oto słowna treść tej atmosfery, w której dziś musi pracować t. zw. „intelektualista”. Oczywiście tamtych jest większość, ale ci znów są rzadcy i bez nich byłoby całkiem parszywie. „Sekcja (czego?) ochrony intelektu przed

*) Snardz = facet — patrz, kotku, poprzedni numer „Skawy”.

wyjącym psem" powinna być ugruntowana, bo inaczej wszystko zejdzie na jeszcze gorsze psy — (na parszywe kundle?) niż dotychczas. Intelktualista musi wybierać: albo a) siedzieć w lecie przy zamkniętych oknach (prawo powietrza w mieście — rzecz pierwszorzędnej wagi), a i tak głośniki wciskają się przez wszystkie szparki i otworki i „fond” namiętnej (przeważnie wyjący pies nie lubi Bacha, Beethovena i Szymanowskiego) bebechowej muzyki przeważa jako nastawienie do pracy nad t. zw. „dobrem ludzkości” lub „zagadką bytu” albo b) poddać się przy pracy swej gustowi służącej*) czy swego przypadkowego „wizawi” i słuchać jak jakiś ohydny bebechowy au plus haut degré tenorek III kl. wyje:

„Ty moja ach — ach przeciw ja utracił ciebie
 Ach w tej miłości ach ja byłem ach jak w niebie
 Rozstanie to zabija me uczucie tak
 Że jestem teraz taki zwykły smutny sobie flak itd. itd.”.

Gdyby to jeszcze taka pieśń, ale są stokroć i tysiąckroć gorsze. Poprostu ohydny śmierdzący bebecz ludzki — łzawi, krwawi, prątkuje, spermkuje, mra i głobi na tysiące sposobów po wszystkich płytach i nie-płytach (t. zn. oryginalnych występkach) świata. Dobrze — są kretyny, które tem tylko żyją, ale czemu do życia tem świństwem mam być zmuszony ja — dlatego, że chcę w mieście lyknać trochę względnie (o, jakże względnie!) świeżego powietrza. Więc albo zamknijcie okna i zcziszcie (to nadewszystko) głośniki, słuchajcie na słuchawkach, albo nie grajcie wcale. Ale ja mam wrażenie, że prócz zwykłych idjotów istnieją świadomi dobroczynicy ludzkości: mają dobre głośniki i chcą się ich działaniem ze wszystkimi podzielić i ci są zdaje się najgorsi. Poza tem, że narzucają swój program: ja chcę (dajmy na to — ja wogóle nic nie chcę — ja chcę spokoju) mszy żałobnej w Barcelonie, a on mi puszcza śpiewy przy zbiorce kukurydzy w Argentynie, ja chce wogóle mszy świętej, a on mi tango z Savoy'u, lub naodwrot, a przytem głos to narkotyk, prawdziwy narkotyk: im dalej tem głośniej, wymaga on coraz większych dawek jak morfina lub opium: i to jest najgorsze: ludzie głuchną powoli sami nic o tem nie wiedząc i to, co dla jednych jest j u z potwornym rykiem, dla nich jest łagodnem nuceniem z surdinką. Są ludzie (o ile ludźmi ich nazwać można), którzy wala cały program od 7 do 2 w nocy. Mam wrażenie, że kierują się oni niejasnem poczuciem, że coś się marnuje, kiedy ich radio nie gra. Płacą za to podatek, mają to potencjalnie — jakże tu nie

*) Nic nie mam przeciw służącym jako takim, ale wolałbym, aby ich wcale nie było. Podobno w Ameryce przeciętny człowiek nie ma służby — tylko milionerzy mogą sobie na to pozwolić. Ale jakiej służbie chyba jest naprawdę dobrze? Służyć komuś nie sobie, to parszywa rzecz.

grać. I grają se wicie, grają. Pomijając to, że manjak radjowy nie ma na nic czasu — jak nie gra, to coś mu się marnuje — co za ogłupienie z tego nachodzi na niego i całe otoczenie i sąsiadów, którym pracę jakąś uczciwą umysłową on wprost uniemożliwia. Mam wrażenie, że ludzkość narazie nie zdaje sobie sprawy z tego, jakiego potwora dodatkowego, przy niezmiernie cennym wynalazku, spuściło z uwięzi. Kto wie czy postępujące ogłupienie publiki ostatnich lat nie zawdzięcza porządnej ilości procentów radioamatorstwu. Resztę dorzyna rozrastająca się gazeta, dancing, sport, alkohol i nikotyna. Ale pomijając już kwestję ciszy zupełnej, nawet ten, co lubi muzykę przez radio, chciałby słuchać tego na co ma ochotę — i tego nie może; ma chęć na kwartet Beethovena, a musi słuchać tanga, chce tanga a tu mu gwałtem wpakowują mszę i to tak głośno, jak tylko można, ile tylko głośnik wytrzyma. Z hałasem jest jak z każdym nałogiem — wymaga on coraz większego dozowania, aby spełnić swoją rolę ogłupiania. A w dodatku okna poroztwierane na oścież! Więc albo wyrzeknijcie się sami świeżego powietrza, albo nie puszczajcie głośników, bo jedno i drugie jest wprost niemożliwe. Ale najgorsze to są te typy, które, mając dobry głośnik, chcą się z innymi jego zaletami podzielić — rozwalają ci „dobroczyńcy” okna i puszczają na ostatni numer siły swój aparat, poprostu z dobroci serca. Niech im woskowiina w ich nieumytnych uszach nigdy się nie zaśmierdził Kiedy powstanie jakaś ustawa przeciwradjowa, czy coś podobnego.

ROSA BAILLY

STARY PRZEWODNIK

*Stary przewodnik wielkich wypraw się zarzeka.
Zastąpili synowie. Dla sztywnych nóg starca
dróżka od wsi ku łąkom zdaje się daleka:
ta góra mu wystarcza.*

*On, co tylekroć widział najśmielszy wierzchołek,
który nad pasmem niby sierp księżycy stanął,
widzi łęg, co zielonem mu i rudem kołem
obiegł strzechę słomianą.*

*Idzie wolno. Krok każdy poddzwiga widocznie
wieś w niebo. Już chałupy wystają za zbocza,
a teraz, całe wparte w jarzące przezrocza,
mówią starcowi: niech spocznie.*

Przełożyła z francuskiego Julia Wieleżyńska

JANINA BRZOSTOWSKA

ZA LAT MILJONY

(c. d.)

Ale i Azja nie tak samo obecnie wyglądała jak przed katastrofą. Zupełnie inaczej... o tem dobrze wiedziała Ilena. Prócz historii studjowała ona przecież stale i geografję — obie te nauki do dziś dnia, mimo że już od lat wielu jako nauczycielka z nimi obcowała, pasjonowały ją i zaciekawiwały nieustannie. Była też wielką miłośniczką map i planów wycieczkowych. Właśnie przeglądała je sobie przed wyruszeniem z ciasnych dziedzin zamieszkałych na śnieżny płaszcz ziemi.

Tymczasem jedni z pierwszych znaleźli się na nim pełni zapału i projektów Wila z Olfem. Złożyło się tak szczęśliwie, że urlop Wili zbiegł się właśnie z okresem wakacyjnym. Wprawdzie wszystkim starano się teraz ograniczyć pracę do minimum, nie można jej było jednak we wszelkich działach zająć zupełnie zaprzestać.

Wila wykarmiła już i odchowwała przez podstawowe miesiące swą córkę w wyznaczonym instytucie, w którym praca nad wychowaniem dzieci była jej zajęciem zawodowym, i teraz, podczas trwania urlopu tylko ją odwiedzała. Zanim Olf będzie musiał udać się na dyżur przy słuzach, spędzą tu przyjemnie czas razem, na pierwszej wspólnej tegorocznej wycieczce. A inni?

Dzień dziś długi — bo słońce czerwona swem światłem bezpośrednio darzące ludzi, zakreśla o tej porze roku najszerszy łuk nad tą zwrotnikową okolicą ziemi, więc ci, którzy pracują rano, będą mogli przyjść jeszcze popołudniu... nikt nie zostanie skrzywdzony. W domu pozostaną tylko starcy, niemowlęta i najwątlesze dzieci.

Skrzydzenie wydałoby zresztą jaknajgorsze owoce, bo cały ten ruch tutaj, te niby zabawy ludzi zazwyczaj poważnych, są właściwie najlepszym przeszkoleniem sprawności ciała, jednocześnie i hartującym i miłym, utrzymującym siły życiowe w dobrej formie.

W tych rozległych, nie osłoniętych niczem przestrzeniach, oddychało się już po krótkim wstępnym okresie przyzwyczajenia swobodniej i pełniej. Przez ogromne dale atmosfery otulającej ziemię szło to powietrze tutejsze, rześwe i temi dalami pachnące, — nic dziwnego więc, że było płucom miłe i, choć trzeba je było tlenem wydzielanym przez pasy zasilające wzbogacać, upragnione. Szczególnie w dni bezwietrzne lub o wietrze słabym, a właściwie tylko takie były w biuletynach meteorologicznych brane pod uwagę, jako nadające się do wycieczek w te okolice, trudno było człowiekowi

stał odejść. Atawistyczny pęd do wolności, do wędrowania po rozległych obszarach nie miała pewnie grać tu rolę. Nigdzie tak jak tu nie można było nasycić się dałą widnokręgów ziemskich, i poczuciem wzmożonej wśród nich — i im naprzekór — woli życia.

Przybyli zaczęli właśnie ruszać się raźniej — mróz popędza — gdy przyszła, dobrze już napatrzywszy się swym mapom, Ilena. Była sama. Mąż jej, Polan, starszy już człowiek i dość słaby — mimo że niegdyś nawet do najsilniejszych należał, prowadził prace bardzo ważne w okolicy dość daleko położonej od miejsca zamieszkania ich obojga, i ciągłe używanie najrozmaitszych środków lokomocji nużyło go, więc też, choć zachował dotychczasowe mieszkanie obok mieszkania Ileny, w miejscu swej pracy wyszukał sobie wygodny dom dodatkowy. Ilena odwiedzała go zresztą dość często, i serdecznie troszczyła się o niego.

Teraz w rodzinie Ileny prócz jej męża tylko Stana brakowało. Znajdował się on już w obozie „wybranych“, u stóp śnieżnych gór które przyciągały spojrzenia wszystkich. Oczy Ileny widziały inny jeszcze na ich wspaniałem tle obraz. Oto pod tymi górami, w obozie podobnym do tego, jaki tam teraz rozbił jej syn wraz z swymi towarzyszami, poznała niegdyś swego męża. Polan także w młodości należał do „zastępu wybranych“ — później jeździł na Nowy Glob... Spędził na nim nawet kilka dni, i jeden z niewielu zupełnie szczęśliwie wrócił na ziemię.

I dziś jeszcze sprawa Nowego Globu zajmowała go nad wszystkie inne. Nową — choć stary — przygotowywał wyprawę — i chciał w niej wziąć udział. Pragnął jeszcze raz wyczuć pod stopami łąd tej bujnym życiem kwitnącej planety — tym razem już z synem, Stanem. Jeżeli jemu siły i wiek odmówią posłuszeństwa, Stan będzie tym, który na Nowym Globie zostanie. Marzył o tem — i Ilena, choć pełna obaw, nie chciała mu w pracy, tak niesłychanie dla dobra ludzkości ważnej, przeszkadzać.

Młoda drużyna, w obozie się znajdująca, jedynie na noc wracała w ciepłe, zamieszkałe dziedziny, i to w chłodniejszą ich, mniej ogrzewaną okolicę, aby zbytne różnice między temperaturami nocy i dnia nie poczyniły szkód w jej zdrowiu.

Chłopcy i dziewczęta mieszkali tam razem, w doskonałej zgodzie. O ich niemoralne zachowanie się (jak to się pewnym ludziom przed tysiącleciami zdarzało) nikt nie potrzebował się denerwować... Cóż by dała ludzkość za to gdyby chcieli i mogli płodzić dzieci jaknajwięcej!

Ale nawet oni, ci wybrani, pozostawali w sferze uczuć erotycznych najzupełniej chłodni, i daleko im było do „płciowych namiętności“... Dawniej nazywanoby ich idealistami — dziś tego rodzaju „idealizm“ był powszechny.

Ilena, patrząc na piękne pasmo gór, zapragnęła odwiedzić Stana w jego obozie. Ale towarzysze nie radzili. Za kilka dni, gdy po długiej przerwie znów wszyscy przywykną do warunków tu panujących, wyruszy do obozu pod górą gromadna wycieczka, urządzona dla tych, którzy tak jak ona chcą odwiedzić pracujących w obozie krewnych i przyjaciół.

Ilena oczywiście przystała. Dziś, zaraz jechać do obozu, to było tylko marzenie. — Wie przecież, że tak odrazu, pierwszego dnia nie wolno wybierać się na dłuższe wycieczki... Narazie więc pojechała z kilkorgiem znajomych na nartach motorowych ku miejscu najbliższego postoju, ku dużemu domowi położonemu na granicy pierwszej, najbezpieczniejszej dla turystów strefy tych okolic. Mieściły się tam sale wypoczynkowe i jadłodajnie, a z wspaniałych, oszklonych tarasów można było napatrzeć się ile serce zapragnie na białe obszary śnieżne.

Ruch zagrzał już i rozweselił uczestników wycieczki, niecodzienne widoki dokoła doskonale działały na nerwy i samopoczucie. Srebrzyste szrony osiadły na ubraniach wzbudzając szczerzy zachwyt ich właścicieli, para buchała przy każdym oddechu. Wszystko tu było niecodzienne, pociągające i piękne — choć, a może właśnie tem bardziej, że poza tym krótkim cieplejszym okresem grozą śmierci owiane...

Jak daleko ku wschodowi i północy wzrok sięgnąć zdołał, od brzegów morza poczynając, pod śniegami i lodami leżały zamarte miasta i bujnym życiem niegdyś tętniące porty. Nikt już ich nie badał, nie przekopywał. Opisywane były wielokrotnie i pozostały mnóstwo dokumentów historycznych. Raczej ludzi było dziś za mało do studjowania ich tajemnic...

Obszar który mijali, należał do najbezpieczniejszej bo najbliższej siedzib człowieka okolicy. Nie był on w tej chwili ani zbyt pusty, ani pozbawiony śladów pracy człowieka. Przeciwnie, co krok spotykało się tu najrozmaitsze sezonowe urządzenia rozrywkowe, i naukowe laboratorja, a także schroniska wycieczkowe, podobne do tego, ku któremu właśnie zmierzali.

Były one rozmieszczone w niezbyt wielkich odległościach, i stanowiły zazwyczaj część składową całej grupy budynków tak wyposażonych i urządzonych, by uczeni w swych laboratorjach nie byli pozbawieni sąsiedztwa jadłodajni, a sportowcy możności obejrzenia interesujących laboratorjów i muzeów.

Wszystkie te zespoły budynków stanowiły pewnego rodzaju fortece przeciw zakusom mrozu — odpowiadały sobie i pomagały wzajemnie w razie potrzeby, aby pracujący w nich ludzie nie byli zbyt samotni.

Co prawda, nawet samotnikowi wędrującemu w te strony trudno byłoby się zagubić czy zabłąkać bez nadziei ratunku. Każdy czło-

wiek posiadał teraz bowiem w bardzo wybitnym stopniu zdolność jawnego wypromieniowywania z siebie tak zwanej „energji świadomości“, którą w razie potrzeby mógł nawet na wielkie odległości z ogromną siłą wysyłać. — Niegdyś promieniowanie takie właściwe było tylko nielicznym, bardziej „uduchowionym“, „spirytualistycznie“ bogaciej wyposażonym jednostkom. Teraz zdolność tę, w wysokim stopniu rozwiniętą, posiadali wszyscy ludzie. Ona to była także jednym z czynników umożliwiających człowiekowi porozumiewanie się na odległość, bez słów. W razie więc zabłąkania w pustyni śnieżnej, każdy człowiek mógł za pomocą tej właśnie energji wzywać pomocy samolotów ratunkowych.

Pozatem lampy koncentrujące światło słoneczne, i to w taki sposób, że nie traciło żadnego rodzaju swych promieni, znajdowały się w pewnych odstępach na całej przeznaczony dla wycieczek powierzchni, aby mogli się pod nimi ogrzać zbyt przemarznięci czy zmęczeni ludzie.

Prace na tych terenach, naprawianie zeszłorocznych urządzeń i zakładanie nowych, o ile zachodziła potrzeba, wykonywały przede wszystkim „zastępy wybranych“, w nich właśnie najpewniej hartujące swe siły i wyrabiające mięśnie. To też nie mała była radość Ileny gdy na białym obrusie ziemi dostrzegła nagle niby rozsypane w dali ziarenka maku, fioletowe ubrania zastępu, do którego należał jej syn. Pracowali w niewielkiej odległości od budynku postojowego, który był celem wycieczki. Poprawiali dostęp do jednego z najstarszych schronów na zapasy żywnościowe, głęboko zapadłego w śniegi. Dwudziestu młodych chłopców i dwadzieścia równych im prawie wiekiem dziewcząt, w ciepłych, wygodnych ubraniach, pracowało wytrwale i ofiarnie.

Grupa szybko jadących na nartach ludzi zbliżyła się ku pracującym. Przystanęła...

Stan, który nie spodziewał się matki, nie dostrzegł jej zrazu wśród przypartujących się ich zajęciu przybyszów. Pracował obok Senny.

Po chwili przystanął aby odpocząć, powiedział coś do niej — i ona przerwała pracę. Byli widocznie zmęczeni. Teraz dopiero spojrzał Stan w gromadkę nieproszonych widzów, i dojrzał matkę. Radosna niespodzianka odzwierciedliła się w jego uśmiechu, ale nie podszedł do Ileny, ponieważ nie ogłoszono jeszcze przerwy w pracy. Wiedział że trzeba podeprzeć także niewyrównaną ścieżkę od strony grubego muru schroniska, aby jej śnieg nie zasypał. Na to trzeba jeszcze kwadransa pracy całego zespołu...

c. d. n.

ZMIERZCH

(dokończenie)

Ochromski zerwał się z krzeselka, wymamrotał przerażonym głosem jakieś niezrozumiałe słowa i pochylił się nad zegarem.

— A mówiłem — rzekł podnosząc zegar drżącymi rękami i kładąc go uważnie na stole, — zegar nie jest do zabawy. Ale tobie można coś sto razy powtarzać, a ty mimo to będziesz postępował zawsze według swego widzimisię. Nie rozumiem co z ciebie za dziecko — zwrócił się do Kazika, lecz momentalnie urwał — z czoła chłopca sączyła się wąziutkim pasemkiem krew.

— A widzisz, — zirytował się na dobre, — potrzeba było tam wchodzić? Musiałeś bawić się zegarem? Musiałeś? Ale ty... — machnął lekceważąco ręką i poczłapał do sypialni. Po chwili wrócił przynosząc watę oraz flaszeczkę z karbolem.

— Głupstwo, lekko skóra przecięta. Nic ci nie będzie. — Prychnął wzgardliwie wargami.

Po obmyciu chłopcu czoła z krwi i założeniu prowizorycznego opatrunku, powrócił znowu do zegara, badając go uważnie czy przypadkowo gdzieś nie uszkodzony.

— Nie rozumiem, co ty przy nim majstrowałeś, że aż spadł. — Wyjął z kieszeni chusteczkę i starł kurz z tarczy. — Dzięki Bogu nie widzę żadnego uszkodzenia. Wiesz przecież, że mamusia nie pozwoliłaby już teraz na naprawę, lecz odrazu wyrzuciła go na strych. A jego miejsce nie na strychu, zapamiętaj to sobie. — Tu głos jego stał się stanowczym i oschłym. Ujął delikatnie zegar i zawiesił zpowrotem na ścianie. Palcem pchnął lekko wahadło, które zakołysawszy się rozbudziło mechanizm, i ciszę wypełniło znowu miarowe tik-tak, tik-tak...

Ochromski odetchnął.

Kazik milczał i spuściwszy głowę zakreślał nogą na podłodze jakieś nieforemne figury geometryczne.

Zegar tykał cicho... równo...

W drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz.

— Mamusia. — krzyknął uradowany Kazik wybiegając do przedpokoju.

Ochromski spojrzął smutno na drzwi, potem na zegar i siadając wygodniej na krzeselku zaczął nabijać fajkę.

Z przedpokoju dolatywały uradowane wykrzykniki chłopca i po chwili do kuchni weszli młodzi państwo Wirscy a za nimi Kazik.

— Ależ tu duszno. Dlaczego ojciec nie otworzył okna? — Zaraz na progu Wirska zwróciła się do Ochromskiego.

— Zimno. — rzucił Ochromski.

— Gdzie tam zimno. Ojcu tylko zimno. Cudowna pogoda. — Odparła opryskliwie otwierając okno.

Ochromski wzruszył leniwie ramionami. — Nie sprzeciwiał się. Bo i po co? Przywykł już dawno do tego, że w domu przestano się liżyc z jego zdaniem. Wprowadził się do swej córki siedem lat temu, — odrazu po śmierci żony. Posprzedawał wtenczas wszystkie swoje meble, szkła, różne drobiazgi — a czego nie sprzedał, — to wyrzucił. Zatrzymał tylko zegar pomimo wyraźnego niezadowolenia Wirskiej. Ile miał on lat? — sam nie mógł powiedzieć. Pamięta, że kiedy był jeszcze dzieckiem, zegar wisiał już wtenczas na ścianie w domu rodziców — a ojciec wspominając o zegarze, mawiał — stary. I ten to zegar był teraz całym jego majątkiem. W tym jedynym wypadku sprzeciwiał się jeszcze swej córce która uważając zegar za stary, niepotrzebny grat pragnęła go wszelkimi siłami wyrzucić na strych. Parę miesięcy dopiero temu, jak doszło między nimi do ostrej scysji, w której Ochromski wyprowadzony z równowagi, wypowiedział nagle wszystko co go przez okres tych siedmiu lat męczyło, a co z podziwu godną cierpliwością znosił. — „Tylko ten zegar z sobą przyniosłem kiedy sprowadziłem się do ciebie. Przeniosłaś go do kuchni, — dobrze. Na wyrzucenie go jednak na strych nie pozwolę. Zrozumiałaś — nie pozwolę! Ja wiem, ty chcesz abym i ja się wyprowadził, jestem ci zawadą. Tak — tak — w ten sposób odpłacają się dzieci rodzicom na starość. I to za co? Za co mój Boże? — Za...” — Wyszła. Nie chciała dalej słuchać, — przesadzał — był za bardzo zdenerwowany. Od tego dnia jednakże nie powróciła już do tej kwestji, — lecz Ochromski znał dobrze swą córkę, — wiedział, że wykorzysta każdą okazję aby mimo to dopiąć swego. Zawsze była krnąbrna, niezdolna, złośliwa. Dlatego też od czasu do czasu spoglądał z podełba na zranione czoło chłopca, życząc sobie z cicha aby go nie zauważyła.

Wirska zaś zdjawszy płaszcz i kapelusz, rzuciła je na stół i pokolei zaglądała do wszystkich garnków na kuchni szukając czegoś do zjedzenia. Była głodna jak wilk. Spojrzała do pieca, lecz zauważywszy ogień na wygaśnięciu, zrezygnowana usiadła na krześle. Zmęczonym wzrokiem przypatrywała się Kazikowi mocującemu się bezskutecznie ze sznurkiem na pakunku przyniesionym przez ojca.

— A to co? — odezwała się nagle, gdy chłopak podniósł głowę. — Ty co zrobisz? — zauważyła ranę na czole chłopca.

— „Masz cie” — zamruczał Ochromski.

— Eet nic. Głupstwo, lekko skóra... — zaczerwienił się Kazik.

— Co głupstwo. — Co głupstwo, — tu rana przez całe czoło a on głupstwo. Spójrz. — zwróciła się do męża wychodząc z sypialni.

— Co zrobisz? — zapytał ostro Wirski.

— Nic... tylko, podciągałem ciężarki u zegara i... zegar... spadł...

— A nie mówiłam, — zaskandowała Wirska, zadzierając triumfująco głowę do góry. — A nie mówiłam, wyrzucić zegar na strych. Byłby na strychu nie byłoby rozbitej głowy, — ale ojciec chce mieć zawsze swoje na górze.

— Niepotrzebnie bawił się zegarem, — nieśmiało oponował Ochromski.

— Niepotrzebnie. Co znaczy niepotrzebnie? — zirytowała się. — Jak dziecko. Ale gdy ja chciałam go już dawno wyrzucić, to ojciec nie pozwolił. Lepiej niech komu głowy rozbija, co? — ostatnie słowa wypowiedziała wolno, sycząco. — Ale nie...

— Dajże spokój, — wrócił się Wirski, — cóż temu dziadek winien, że chłopak zrzucił zegar. — Wirski nie lubił gdy się kłócono.

— No tak, — Wirska potrząsnęła smutno głową, — tego mogłam się spodziewać po tobie. Ja nigdy nie mam racji, bo przecież...

— Cóż ty wygadujesz? — przerwał jej. — Zlituj się.

— No dobrze. Dobrze już. Nie mam zamiaru się kłócić. Niech wisi — niech wisi. Niech dalej rozbija głowy. — Wzięła płaszcz i kapelusz i wyszła do sypialni.

Wirski siedział przygnębiony. Kochał swoją żonę. Teraz może nawet jeszcze mocniej, niż za czasów narzeczeńskich, — a przecież już dziesięć lat jak się pobrali. Ustępował jej na każdym kroku, pragnął aby zawsze była zadowolona. Parokrotnie już zwracała się do niego z prośbą, aby powiedział i przekonał Ochromskiego, że zegar trzeba z kuchni wynieść. — „Mamy nowocześnie umeblowaną kuchnię, — a tu taki stary gręt zajmujący prawie całą ścianę. Wstydę się gdy ktoś przypadkowo wejdzie do kuchni”. — Wirski przyrzekał lecz zawsze kończyło na przyrzeczeniu. Było mu żal Ochromskiego, i teraz też milczał nie wiedząc co powiedzieć. Najchętniej wyładowałby całe swe niezadowolenie na chłopcu. — „Po djabła musiał się bawić tym zegarem”. Lecz za chwilę złość mu mijała i uśmiechał się cicho w duchu. — „Jak dziecko”.

Ochromski bawiąc się fajką, utkwiał wzrok na suficie i kręcąc młynka palcami, cicho podgwiżdżał wokoło jakąś melodię.

Do kuchni weszła Wirska i zaczęła się krzątać wokół przygotowania kolacji. Milcząc zabrali się do jedzenia. Parokrotnie nawiązywana przez Wirskiego rozmowa, po chwili urywała się zawsze i znów zalegało denerwujące milczenie przerywane tylko głośnym pochlipywaniem gorącej herbaty i jednostajnym tykaniem zegara, liczącego niezmiernie upływający czas.

Była godzina punktualnie wpół do jedenastej. — Z chrzęstem obsunęła się jedna waga wdół i po jej łańcuchu spłynęło na pokój przytłumione bicie:

„Raz, dwa, trzy...”

Ochromski drgnął.

„Cztery, pięć... dziewięć...” — Nagle trzask — silne szarpnięcie wagi i... cisza. Wahadło kołysało się jeszcze — coraz wolniej, wolniej i... stanęło.

Ochromski milczał. Czoło sfałdowało się — ręka zatrzymała w połowie drogi do ust — żyły na skroniach nabrzmiały — a myśli wszystkie porozłaziły się gdzieś i nijak nie potrafił ich skupić. Wzrokiem zawisł na poczerwiałej tarczy, jakby na niej miał wyczytać miejsce uszkodzenia.

Cisza...

Pełnym rozżalenia wzrokiem spojrzął na Kazika.

Kazik zaczerwienił się i wbił oczy w ziemię. Chciałby teraz podskoczyć do Ochromskiego, uścisnąć go i poprosić aby się nie gniewał na niego, bo on temu nie winien, on nie chciał i, że to da się napewno naprawić. Siedział jednak cicho nie mówiąc ani słowa — lękał się mamusi — która odsunawszy od siebie talerz, podparła brodę obiema rękami, przenosząc wzrok na zmianę z Ochromskiego na męża. „Czyż nie miała racji mówiąc — grat?” — Ochromski wiercił się niespokojnie pod świdrującym wzrokiem Wirskiej. W pokoju stało mu się nagle za ciasno, duszno — jakaś dziwna siła rozpierała głowę, a cały pogrążył się w błogiej bezwładności. Wirski miał minę zakłopotaną, denerwowała go lekko uśmiechnięta twarz żony — „Z czego ona się cieszy?” — nie mógł zrozumieć jej zadowolenia.

Cisza — tylko na dworze powstał wiatr, otarł się ze świstem o szyby domu, wplątał grubymi, brutalnymi łapami w drzewa, krzaki gnąc i łamiąc je niemiłosiernie — strzelił ostrym batem zapóźnionym przechodniom w twarze i chichocząc szalał nad światem. Od czasu do czasu przedarła się przez fałdzistą szatę chmur któraś z gwiazd i drżąc zawisała nad światem w oczekiwaniu d n i a. — Świat pochłoneła p u s t k a.

Istnienie niezależnego pisma —

to prenumeratory!

Czy już zaprenumerowałeś „SKAWĘ”?

O POMNIK POECIE

„Pieśń masz, — lecz pieśni gdzież roz-
gałęzianie...”

C. K. Norwid („Promethidion“)

Kilku pisarzy pisało już o sprawie wystawienia pomnika C. K. Norwidowi, wspaniałemu poecie. Dorzucę i ja swój skromny głos do ich słów.

Cyprjan Kamil Norwid, poeta doniedawna zapomniany, spoczywający w pyłe księgarń i archiwów bibliotecznych, doczekał się jednak swojego odrodzenia w umysłach rodaków i wyjścia na światło dzienne „z lamusa rzeczy dalekich”. Jednakowoż niewystarczająca jest ta znajomość poety. Od czasu bowiem, kiedy rzesze (nie tak bardzo znowu liczne) zaczęły go poznawać, zaczęto narzekać że Norwid jest „za” trudny, zabardzo skomplikowany. Powiadają, że do każdego utworu poety należałoby dodać całą masę komentarzy, by stał się zrozumialszy. Otóż, tak nie jest. Rzecz w tem, że Norwid nie ulega błyskotliwemu efekciarstwu słowa. Jego każde zdanie — twarde jest jak głaz, przemyślane tak, że staje się w końcu płonąca syntezą myśli, od której, gdyby odjąć słowo, spaczyłaby się całość treści.

Czemże jest, przechodząc dalej, zrozumienie poety? Czemże jest pojmowanie go, jeśli nie kwestją zżycia się z jego osobowością, która zawsze, słabiej czy mocniej wykwita z kart utworu. Czytelnik wtedy zaczyna rozumieć intencje autora, wtedy dopiero docierają one do jego umysłu, kiedy ziszcza się warunek oswojenia się z nim, jak rzekłem, — zżycia się. I otóż to. Czytelnik Norwida jeszcze nie zdążył się przyzwyczaić do niego, jeszcze go nie przeczuł, tak, że nie nastąpił jeszcze moment zrozumienia poety. Przyjdzie to z czasem dopiero.

Jak nadmienilem, Norwid doczekał się odrodzenia swego w umysłach rodaków. Wyraziłem się nieściśle. Jest to bowiem powrót do pamięci nielicznych. Bo czyż prace o poecie, prace tak mało dostępne dla czytelnika — zwykłego konsumenta literatury, i niepopularne, jakie nam dali Piechał i Miriam mogą przyczynić się do głębszego poznania Norwida i do żywszego zainteresowania się nim? Tu potrzebne są prace bardziej popularnie ujęte, mniej sztywne, mniej fachowe, dosadnie mówiąc, takie któreby udostępniły postać poety i wiernie zobrazowały go czytelnikowi — zwięźle, dostępne.

Szczeblem innego rodzaju, do takiego poznania Norwida, do podsycecia kielkującego zainteresowania się jego utworami, byłoby właśnie wystawienie poecie pomnika.

Pomnik powinien stanąć w Warszawie na którymś z piękniejszych jej placów, za czym przemawia wielkie ukochanie przez poetę tego miasta, w którym spędził on swoje lata młodzieńcze, i które sławi w pięknych strofach wierszy o stolicy.

Jeszcze jedno pragnąłbym dodać.

Widziałem w swoim czasie popiersie Norwida, dłuta młodego rzeźbiarza Kazimierza Pietkiewicza. Ten natchniony artysta dał nam wzruszające potęgą wrażenia dzieło, które myślę, powinno stanąć na postumencie. Wobec tego, iż rzecz jest gotowa, możnaby nie wygórowanym nakładem kosztów materialnych godnie uczcić pamięć wielkiego poety.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI

MIARA DYSTANSU

*Na tarasie przed domem lenistwo w wygodnym tonie leżaku.
A pejzaż jest tropikalny: południowo-indyjskie wybrzeże.
Popołudnie ciężkie w upale. Wieczór wiatry obudził świeże.
Noc czeka mego znaku.*

*Po wsiach dokoła bębny. Storczyk z drzewa kaskadą
Wkwieconych w trawę motyli zaraz odrzunie.
Palmy wrosły w brzeg morza siwą kolumnadą
Przeciw wodzie napięta struna przy strunie.*

*Czas tutaj nie ucieka ani się nie dłuży.
A tylko jędrne werble przyspieszyły toku.
Okręt nocą płynący: gwiazdozbiór w podróży.
Śledzie mijane świateł w nieskończoność mroku.*

*Bębny mierzą napięcie radości i troski.
Z świątyni obok przez drzewa świetliki, lampki oliwne.
Za mną nagłe na płycie Theme varié — Szymanowski.
Jaka dal — pomyślałem. I jakie to dziwne.*

MARJA MOROZOWICZ SZCZEPKOWSKA

NOTY Z TEATRU

Cztery premjery: Teatr Polski — Hamlet w przekładzie Iwazkiewicza. Mały: Brat marnotrawny Wildea. Kameralny: Elżbieta, kobieta bez mężczyzny — Josseta. Narodowy: Szary Welon Jasnorzewskiej.

O Hamlecie i Szekspirze łącznie z podaniem w wątpliwość jego istnienia istnieje tak duża literatura że należy raczej ograniczyć się do kilku spostrzeżeń. Ja osobiście przyjmuję istnienie Szekspira jako takiego bez zastrzeżeń, wystarczy mi że znamy Strafford miejsce jego urodzenia i corocznych uroczystości na jego cześć, że zwiedzamy dom, w którym mieszkał, pokazują nam dokumenty dotyczące roku zaślubin, urodzin dzieci, chrztów, jakich trzeba jeszcze dowodów, jeśli idzie o człowieka, że taki istniał rzeczywiście? Nie dzieli nas od niego aż tak wielki czas, żeby wszystko na przestrzeni czterech wieków skruszało i straciło rozpoznawalność. Epoka Elżbietańska bogata w genjusze wydała tego właśnie piewę, człowieka we wszystkich jego najbardziej zasadniczych cechach, instynktach. Zdumiewa jego wiedza o życiu, która wnikliwym okiem segreguje menażerję ludzką, ustala typy, etykietuje je, stwarza podstawę wieczną. Takie jest wielkie znaczenie Szekspira w literaturze świata.

Bo chociaż dzisiaj wiele sytuacji szekspirowskich wydaje się nam zbyt grubymi, choć nasz układ społeczny wykazuje większą sprawiedliwość a sam c z ł o w i e k od szesnastego stulecia, nawet przy niepochlebnym osądzie wysubtelniał, poszedł po drodze zdobyczy moralnych, można śmiało powiedzieć że szanse jego w gromadzie ludzkiej poszły w górę, mimo tych dużych zmian olbrzymia gama postaci ludzkich, jakie rozwiązał przed nami Szekspir, jest kluczem do natury człowieka. W tem leży nieśmiertelność jego dzieła i wiąże się z nieśmiertelnością teatru. Teatr po wieki wieków będzie zwierciadłem, w którym z napięciem oglądać będzie swoje oblicze ludzkość. Inaczej niż w powieści i poemacie i liryce. Tak jakoś dosadnie, bezpośrednio, twarz w twarz porywająco, gromadnie, w tem jest czar i magia teatru. Kto powiada że teatr się skończył niewiele wie o człowieku. Należy tylko zmienić formę widowisk teatralnych (wielkie albo małe sale, niskie ceny, łatwość wejścia w palcie i kapeluszu, odrzucić pompę, nie krępować się i t. d.), ale nie wierzyć, że człowiek wszystkich czasów nie zechce zobaczyć siebie: rozwiązać tysiąca zagadek, sprzeczności, niepokojów, zobaczyć światło w ciemności. Nieprawda, człowiek chce tego zawsze. Tylko dajmy mu to, dajmy mu w teatrze T R E Ś Ć, zajmijmy jego wyobraźnię, serce, poruszmy umysł, pocieszmy, uzdrowmy, podnieśmy z pro-

chu, szarżyzny, znękania. Nie wypasajmy go trocinami po wielokroć zmielonemi!

Ostatnie premjery warszawskie przedstawiają różnorodny bukiet nieporozumień bądź teatru z publicznością, bądź aktorów ze sztuką.

Hamlet w nowym przekładzie Iwaszkiewicza przy ogromnym wysiłku artystycznym poszedł po całkiem złej woli. Musimy żałować że tak wielki nakład pracy nie przyniósł Węgierce, wykonawcy Hamleta, inscenizatorowi i reżyserowi w jednej osobie, owoców na jakie zasługiwał. Ale musimy sobie jasno zdać sprawę, że wybuchowy, gotujący się od pierwszej sceny, kipiący w scenie z duchem najwyższym uniesiem, które potem przechodzi w sarkazm, jad, gorycz. zawsze na tle bólu i rozpacz, dosłownie rozszarpującej Hamleta, aby na chwilę zdrzemnąć w morderstwie i śmierci, że taka właśnie a nie inna postać Hamleta nie może być wcielona przez aktora o postaci pazika, twarzy smętnej, spojrzeniu zadumanem, przytłoczonego na domiar złego z własnej inicjatywy i woli monumentalnymi schodami! Cały Hamlet rozgrywa się na tych schodach, ktoś ciągle po nich biega i zawraca, na nich deklamuje i na nich się pozuje. Cały wieczór wszyscy deklamują. Nawet tak naturalny aktor jak Kurnakowicz. Jakże fałszywe podejście: dlaczego Szekspira mówić z pompą i nienaturalnie. Oczywiście forma tekstu jest zlekka obciążona sztywnością ale należy w nim jak w skorupie znaleźć ludzki ton, w tym arcy-ludzkim dramacie!

Między wielu Hamletami, których dane mi było widzieć, wspomnienie niezatarte, jedyne, ogniste, zostawił w mojej pamięci rosyjski aktor Orłenjew. Przyjechał do Wilna w roku 1912 z własną trupą bez wielkich dekoracji, z marnymi aktorami, przykuwał już od pierwszej sceny, gdy stoi zamyślony, ponury z głową gołą, w scenie z Duchem łkający najserdeczniejszymi łzami. Wstrząsał pasją, prostotą, naturalnością, podnosił dosłownie włosy na głowie, wywoływał dreszcze w ciele, siedziało się w transie, bez pamięci o sobie i miejscu, porwanym w jego wir, szal, zdruzgotanym, oszołomionym. Było coś tak przeraźliwie gorącego, namiętnego, żywołowego w tej porywającej kreacji, że kiedy Hamlet — aktor schrypnięty z nadludzkiego wysiłku padał wreszcie aby umrzeć, i ja znękana, oniemiała, wyzbyta z sił nie mogłam przypomnieć sobie gdzie jestem, nie mogłam podnieść się z krzesła. Wielu poprawnych Hamletów widziałam w życiu, ale taki cud kreacji aktorskiej widziałam tylko raz. I dlatego wiem, że aktor nierozporządzający najwyższą pasją i napięciem wszystkich namiętności nie może grać Hamleta. Dlatego Węgierko, interesujący i pomysłowy intelektualista nie może kreować postaci z namiętności i rozpaczliwej złożonej. Oto przyczynek do studjum jak aktor, a może i człowiek wogóle? mało wie o sobie samym.

Na przeciwnym krańcu jakości sztuki i wykonania postawić należy „Brata marnotrawnego” Wildea. Ta urocza, lekka jak pianka komedia znalazła w Teatrze Małym świetnego reżysera (Ziemiński, uroczą oprawę sceniczną (Sliwiński) i kapitalnych wykonawców: Przybyłko Potocka, Ziemiński, Wojtecki i t. d. stanowią uroczy wzór świetnego wykonania. Przedstawienie czarujące w każdym szczególe.

Bardzo interesującą i dobrze zrobioną sztuką jest dramat André Josseta „Elżbieta królowa, kobieta bez mężczyzny” wystawiona w Teatrze Kameralnym. To jedno z najbardziej obecnie godnych widzenia w Warszawie przedstawień. Akcja płynie wartko i zajmująco poznając nas z przebiegiem romansu Królowej z Essexem, młodzieńcem gwałtownym, pysznym, niezrównoważonym, a kochanym naprawdę przez Elżbietę, kobietę już starą. Mądra władczyni, rozgranicza władzę i miłość, walczy o swoją niezależność królowej z pasją zakochanej kobiety. Obdarza kochanka zaszczytami i dostojenstwami ale nie da się usidlić jego klice, jego ludziom. Tak myśli aż do ostatniego aktu widz. Ale w akcie ostatnim autor ukazuje nam tragedję... kobiety. Nie oddała się kochankowi całkowicie, gdyż zgwałcona w 15 roku, nie mogła przełamać urazu psychicznego. Dziś gdy Essex już nie żyje, stracony za niepohamowaną ambicję a może i spisek przeciw królowej, widzimy ją złamaną. Kobieta stwierdza że żyła na próżno. Taką jest, zresztą dość dowolna teza autora, gdyż wiemy z innych źródeł, że Elżbieta nienadawała się do pożycia z mężczyzną z racji fizjologicznych, które dziś usuwa hirurgiczna operacja. Sztuka robi duże wrażenie, jest dobrze wykonana przez p. p. Grywińską i Damięckiego, mimo ciasnoty i małości teatrzyku. Ta sztuka jak może żadna inna prosi się o przepych elżbietański. Teatr Adwentowicza zdobył się na maximum wysiłku, ubierając Elżbietę w piękne kostjumy i utrzymując resztę wykonawców na bardzo przyzwoitym poziomie. Tę sztukę warto zobaczyć.

Coś odwrotnie przeciwnego trzeba powiedzieć o „Szarym wolonie” Marji Jasnorzewskiej. Doprawdy warto się zastanowić za co dyrekcja teatru Narodowego zrobiła krzywdę tej poetce i autorce wielu interesujących sztuk, wystawiając tę rzecz puściutką i bładą na wielkiej scenie, w oprawie wspaniałej dekoracji? (Jarecki). O, Wiljamie Szekspirze, o, Juljuszu Słowacki, czy śniliście kiedy w najśmielszych marzeniach o tak przepysznej dekoracji dla swoich nieśmiertelnych arcydzieł?

Z KSIĄŻEK

Fr. Lipiński — Cherubinowy lament — Poezje, Kraków. „Nauka i sztuka”.

Wiele w tym zbiorze wierszy myśli dobrych i życzliwych ludziom, wiele śmiałych nadziei, jakie tylko młodość bujną swą krwią sycić umie. I gorąca miłość Ojczyzny:

*„Wznoszę tobie ojczyzno świątynię w obłoki
Z marzeń złotych i wichrów, ze słowa stawioną,
W której mój duch tajemny czerpał życia soki
I sercem za żywota dla twej sławy płonął”...*

Zainteresowania poety ujawniają takie wiersze jak „Hymn do Norwida”, „Krzyż Norwida” i wiersz „Litanja Kosmopolityczna”. Odszedł on dość daleko od swych pierwszych prób, wydanych w zbiorze „Wrażenia”, w którym zresztą były także utwory niepozabawione wdzięku świeżości jak „Prowincja”:

*„Prowincjo, miasto ciche, bez rytmu wielkości,
Mała ułomna siostró miast wielkich, wysokich!
W twoich murach ujrzałem Niebo mej miłości
I szczęście mego serca, jak morze głębokie!”*

Stanisław Romański. Sądy Wawelskie, Rapsod nocy majowej. Wilno 1939 r. str. 247 nlb.

Książka bardzo starannie wydana, z pięknym portretem Józefa Piłsudskiego już w trumnie, cała poświęcona wielkim mitom jakie Ojczyzna buduje swemu pierwszemu marszałkowi.

Jar. Budzisz

Z braku miejsca sprawozdania dłuższe odkładamy do następnego n-ru.

„E P O K A”

Ostatni nr. „EPOKI” dwutygodnika wychodzącego w Warszawie pod redakcją Henryka Lukreca (z dnia 15 maja) zawiera między innymi: Goebbelsowi trzeba odpowiadać — Romana Langa, Aforyzmy — Jana Henryka Pestalozziego Przegląd: Dekada polityczna, Ze spuścizny Wacława Nałkowskiego Krytyka Legendy młodej Polski, Zenona Władysława Szczygielskiego: Nowy realizm czy fikcja?, Sprawozdania: Nowe książki i t. d. Adres redakcji i administracji: Warszawa, Ul. Ordynacka 5.

„W I R Y”

Nr. 4 — 5 dwutygodnika literackiego „WIRY” przynosi między innymi artykuły Jana Raduskiego: Bałkany mają smutną sławę, Włodzimierza Lenckiego: Kulisy niemieckiej aneksji, Romana Brandstaettera: Mickiewicz za Jankłowe pieniądze, Brunona Klimke: Rola S. H. H. na Bałkanach, Jana Karola Wende: O pamięć Norwida, Impresje teatralne Henryka Rudnickiego, wiersze oryginalne oraz tłumaczenia, Kronikę Kulturalną i w. i.

PLEBISCYT

„Kogo nie wolno pominąć w Antologii poezji polskiej 1918–1940”

Zwracamy się do wszystkich czytelników *Skawy* z apelem, aby nam dopomogli w decydującym i ostatecznym uzupełnieniu będącej w opracowaniu „Antologii Poezji Polskiej 1918 — 1940”. Aby nie pominąć nikogo, kto w tej antologii znaleźć się powinien, rozpisujemy plebiscyt, którego warunki podajemy poniżej.

WARUNKI PLEBISCYTU:

1) Każdy czytelnik „*Skawy*” może wziąć udział w plebiscycie, pod warunkiem załączenia do odpowiedzi kuponu wyborczego. Kupony zamieszczane będą do miesiąca lipca włącznie (na życzenie czytelników).

2) Każdy kupon upoważnia do nadesłania odpowiedzi z wymienieniem trzech autorów, oraz ewentualnie trzech ich utworów. Do odpowiedzi załączyć można uzasadnienie wyboru wierszy (bardzo pożądane, ale nie konieczne), które nadsyłający uważa za tak dobre, że powinny być zamieszczone w antologii. Poeta umieszczony na pierwszym miejscu otrzymuje w ostatecznym obliczeniu 15 punktów, na drugim 10, na trzecim 5. Odpowiedzi bez kuponów będą nieważne.

3) Głosowanie może być jawne (należy podać nazwisko i adres) lub anonimowe (nazwisko i adres w zalakowanej kopercie dołączonej do odpowiedzi). Koperta będzie otwarta tylko w razie przyznania nagrody. Można również głosować bez podania nazwiska — pod pseudonimem, w tym wypadku głosujący rezygnuje z nagrody. I nagroda wynosić będzie zł. 50, II-ga 10 cennych, wybranych przez redakcję książek, III i IV po 5 książek. Wrazie kilku jednakowych odpowiedzi nagrody przydzielą się przez losowanie.

4) Na podstawie ilości otrzymanych punktów w każdym n-rze podajemy spis pisarzy, których czytelnicy chcieliby widzieć we wzorowej antologii poezji polskiej ostatniego dwudziestolecia, oraz wymienione przez głosujących tytuły ich utworów. Zastrzegamy sobie również podanie niektórych ciekawszych uzasadnień.

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem „*Skawy*”, Warszawa, Nowogrodzka 23 m. 5. Za odpowiedzi najbardziej zbliżone do idealnej listy poetów (tych, którzy otrzymali najwięcej punktów) rozdzielone zostaną nagrody książkowe.

Spis książek przeznaczonych na nagrody w Plebiscycie podaliśmy już w nrze poprzednim.

Dotychczas na liście naszego Plebiscytu znalazły się nazwiska następujących poetów:

Wojciech Bąk, Jan Baranowicz, Zbigniew Bienkowski, Władysław Broniewski, Franciszek Brzegowski, Janina Brzostowska, Józef Czechowicz, Czesław Ciepliński, Maria Czerkawska, Stanisław Czernik, Marian Czuchnowski, Maria Czeska-Maczyńska, Olga Dauksza, T. J. Demczyk, St. Ryszard Dobrowolski, K. Dobrzyński, Józef Andrzej Frasik, Adolf Fierla, Halina Fryde, Nela Gajzlerówna, K. J. Gałczyński, Józef A. Gałuszka, Stefan Gołębiowski, Henryk Hurik, Tadeusz Hollender, Kazimiera Iłłakowicz, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Janczarski, Maria Jasnorzewska, Miecz. Jastrun, Kaz. A. Jaworski, Światopełk Karpiński, Alfred Kowalkowski, Paweł Kubisz, Zenon Koterba-Dziuban, Roman Jaxa Kwiatkowski, Wincenty Kuglin, Jalu Kurek, Jan Lechoń, Bolesław Leśmian, Edward Leszczyński, Jan Leszczyński, Mieczysław Lurczyński, Tadeusz Łopalewski, Józef Łobodowski, St. Młodożeniec, Hieronim Michalski, Czesław Miłosz, Ryszard Matuszewski, Wacław Mrozowski, Bazyl Podmajstrowicz, Jerzy Pietrkiewicz, Aleks. Janta-Połczyński, St. Pięta, Julian Przyboś, St. Rogowski, Artur Rzeczyca, Wł. Sebyta, Włodz. Słobodnik, Ludwik Świeżawski, Wilhelm Szewczyk, Leopold Staff, Kazimierz Sowiński, Edward Szymański, Włodz. Tetmajer, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Julia Wieleżyńska, Józef Wittlin, Emil Zegadłowicz.

W następnym numerze (ostatnim plebiscytowym) podamy listy pisarzy według ilości otrzymanych przez nich punktów.

ERRATA z Nru 5tego

Do artykułu S. I. Witkiewicza o teorii Kretschmera wkładły się następujące pomyłki:

str.	1	4-ty wiersz od dołu	zamiast	„jowalny ma być	„jowialny“
„	„	„	„	(w nocie) „leptosmów“	„leptosomów“.
„	2	17	„	„	„humorem“
„	3	16	„	„	„góry
„	4	24	„	„	„bezpośrednio“
„	4	„	„	„	„pośrednio“.
„	4	„	dołu	„poczucie“	„poczucia“.
„	4	„	dołu	„głównika“	„główniaka“.

(główniak to samo co po niemiecku „Hauptwerk“, czy po łacinie „opus magnum“.

Do artykułu J. E. Płomińskiego „Powieść o duszy kobiecej“:

str. 13 19 wiersz od góry zamiast „tematów“ ma być „teorematów“.

K. O. J.

BIULETYN Nr 5

Zwalczamy reformę pisowni z r. 1936!

Zdecydowane stanowisko i zgodna wola całego społeczeństwa
musi prędzej czy później doprowadzić do jej zniesienia!

Nowej pisowni nie mogę uznać i mam wielki żal do Polskiej Akademji Umiejętności, której członkiem czynnym mam zaszczyt być od 20 lat, że pisownię tę przyjęła i używa jej w swoich wydawnictwach.

Prof. Józef Morozewicz.

Zmiana pisowni z r. 36 jest czwartą z rzędu (w rzeczach zasadniczych), jaką przeżywam. Trzy razy już uczyłem się pisowni na nowo. Obecnie musiałbym uczyć się jej po raz czwarty. Uważam, że na jedno pokolenie jest to za dużo. I musiałbym swoje własne imię pisać po raz czwarty inaczej: Pisało się ono bowiem dawniej *Gabryjel*, potem *Gabryel*, ostatnio *Gabrjel*, a teraz miałyby się pisać *Gabriel*. Dalej pisownia, która nie różni w sposobie pisania zgoła odmiennych pojęć, wyrażających się dotychczas w pisaniu *niema* razem lub *nie ma* oddzielnie jest pisownią zabijającą inteligencję i nadającą się dla pół-inteligentów.

Prof. G. Sokolnicki.

Wielce Szanownych Panów upraszam o wpisanie mię na listę członków Komitetu Obrony Języka, jakkolwiek to wszystko ma tylko teoretyczne znaczenie, póki wydawcy trzymają się pisowni biurokratycznej. Np. Zjazd teologów swoją drogą a swoją Uniwersytet lubelski i t. p. Bądź co bądź istnienie K. O. J. stwierdza, że jednak nie wszyscy są...

Prof. Feliks Koneczny.

Inicjatywę obrony naszego języka uważam za konieczną i nie wątpię, że prędzej lub później doprowadzi ona do zniesienia niefortunnych „reform”. Dlaczego właśnie reformować pisownię, ustaloną na wszystkich ziemiach polskich od dobrych kilku dziesiątków lat, gdy jest tyle innych rzeczy, wymagających jaknajpilniejszej reformy? Chyba poprostu dlatego, że podług pojęć „reformatorów” świat zaczyna się dopiero od nich i nie przed nimi nie było. Taka „radosna twórczość” w dziale reformy pisowni ogarnęła swego czasu także naszych sąsiadów Litwinów.

Ps. Prof. Sokolnicki opatruje wszystkie swoje rękopisy pieczętą: Pisownia A. U. z r. 1931.

Zreformowano pisownię, dzienniki zaczęto wydawać w nowej pisowni, wydano nawet jeden tom Encyklopedji, lecz spokojny naród litewski wkrótce doszedł do przekonania, że ta nowa pisownia to głupstwo; w ciągu roku, bez oficjalnego wycofania dokonanej, „reformy” dzienniki i ludzie prywatni wrócili do dawnej, niezreformowanej, i po całym tym incydencie pozostał tylko jeden tom Encyklopedji jako świadek niezyciowej „reformy”. Oby ten sam los spotkał dzieło naszych „reformatorów”!

Prof. Karol Pomianowski.

Na zebraniu Komitetu Obrony Języka d. 17 listopada ub. r. delegatka stowarzyszenia artystycznego p. n. Zespół Reduty, p. Kazimiera Jeżewska, oświadczyła w imieniu kierownika Reduty, p. Juljusza Osterwy, że zespół artystów reductowych stosuje się w wymowie scenicznej do pisowni dawniejszej, uważając ortografię obowiązującą za niezgodną z duchem języka polskiego i wypaczającą piękno wielkich dzieł naszej literatury, poezji i prozy.

Najgoręcej protestuję przeciw reformie (takiej!) ortografji i to trzykrotnie: 1) jako literatka, 2) jako nauczycielka, 3) w imieniu ś. p. Matki.

Alina Świdorska.

Dowiaduję się o zawiązaniu się Komitetu w celu starań o uchylenie nowych przepisów pisowni. Przyłączam się całą duszą! Nie mogłem zrozumieć, jak P. A. U. jakoteż Min. W. R. i Ó. P. mogły zatwierdzić i nakazać zmiany tak radykalne, tak niezgodne z wymową, i tak niepotrzebne, zlekceważyć tradycję wiekową! Czyż nie pożyteczniejsza i potrzebniejsza byłaby n. p. praca nad oczyszczeniem naszego języka z wyrazów obcych, czy coś innego? Przyklasnąć należy odwadze Panów i podjętym staraniom; oby tylko skuteczne były!

Ks. Jan Bałys.

Jako polonista z prawdziwą radością witam akcję Komitetu w obronie piękna języka na odcinku ortografji, w tak bezprzykładny sposób „zoperowanej”.

mgr. Roman Chromiński.

Liceum Krzemienieckie.

Do żywego oburza mnie skażenie naszego pięknego języka, a w szczególności wprowadzanie do umysłów biednych uczących się dzieci niechlujstwa językowego.

Stanisław Chorzewski.

Poznań

Potrzeba wydania słowniczka wyrazów pisanych łącznie lub rozdzielnie, p. t. „Razem czy osobno”, gdzie na 124 stronach jest przeszło 40 słów, co stanowi około 6000 wyrazów, świadczy już dostatecznie o nowej pisowni.

Prof. Feliks Starczewski.

Dalsze sądy o reformie pisowni w następnym biuletynie.

U PISARZY I W REDAKCJACH

Tadeusz Bocheński, autor „Gościńców“, „Mojej kantyczki“, „Poetyckiej ekspresji uczuć“, „Przekładu Hezjodowej Tarczy Heraklesa“, „Antologii poezji rzymskiej“ oraz ogłoszonej niedawno „Antologii poezji greckiej“, wydaje wkrótce tom prozy beletrystyczno-krajoznawczej p. t. „Dziennik tatrzański“ („wystudjowanie i wysmakowanie Tatr“). Przygotował do druku „Kwiaty z kruszcu“, studjum literackie o J. M. Heredji. Kończy pracę nad trzema tomikami poezyj, z których pierwszy będzie wyborem utworów dawnych, drugi nowym, zmienionym i, jak się autor wyraża, rewizjonistycznym wydaniem „Mojej kantyczki“, trzeci zawiera poezje z lat ostatnich.

Na warsztacie ma poeta również wielki, dwutomowy zbiór przekładów i parafraz poetyckich (razem około 800 stron druku) z literatury starogreckiej, łacińskiej, włoskiej, francuskiej, niemieckiej i małosłowiańskiej. Tom pierwszy poświęcony będzie antykowi (Homer, Hezjod, Hymny homeryckie, Safona, Alkajos, Pindar, Teokryt, Kalimach, Katullus, Wergiliusz, Horacy, Tybullus, Owidiusz, Marcjalis i inni), tom drugi poetom nowożytnym (Carducci, Heredia, Baudelaire, Cocteau, Rilke, Wildgans, Morgenstern, Ginzkey, Szewczenko, Szczurat, Makowej, Kupczyński i t. d.).

Przedsięwzięciem „na lata“ jest przekład poetycki całej „Iliady“, którego dłuższy fragment czytaliśmy ostatnio w „Antologii poezji greckiej“.

Oprócz tego zajęty jest Bocheński pracą naukową nad „Estetyką języka polskiego“ oraz kilkoma szkicami z zakresu filologii klasycznej.

Tibor Csorba: literat i artysta malarz węgierski. Podróżował wiele po Polsce i napisał o niej książkę uwzględniając przedewszystkiem zagadnienia kulturalne. Książka jest napisana w języku węgierskim, zaopatrzona w liczne fotografie.

Obecnie pisze pracę doktorską po polsku. Tematem są czasy Batoryego w literaturze polskiej, łacińskiej, węgierskiej.

P. Csorba ma nadzieję, że wkrótce uda mu się wydać antologię poetów węgierskich po polsku.

Liczne artykuły w języku węgierskim o Polsce a w języku polskim o Węgrzech, oraz odczyty — stanowią również część bogatej działalności p. Csorby szczerego sympatyka Polski

Redaktor *Józef Kisielewski* wygłosił ostatnio w Warszawie dwa odczyty p. t. „O Niemczech współczesnych“. Na odczytach były tłumy. Każde słowo tych zwięzłych, jasnych, prostych i bez patosu, ale z ogromną dynamiką wewnętrznego przekonania opowiedzianych wrażeń z dzisiejszej Rzeszy było ważne, każde prawdziwe i uczciwe. Wiedza — powiedział słusznie prelegent — to najlepsza propaganda. Wiedzieć, i postarać się aby wiedzieli także inni że

50% dzisiejszej ziemi niemieckiej to ziemi niegdyś słowiańskie, że Prusy Wschodnie, to nie część Rzeszy właściwe, ale ziemia rdzennie polska od wieków, w której Niemcy są jedynie ludnością napływową (zupełnie tak samo jak w Gdańsku, o którym wobec tego nigdy nie powinni się mówić jako o mieście niemieckim), że to „kolonie” Niemiec tylko — to już wiele. Właśnie wiedzieć! i postarać się aby o tem cały świat wiedział!

Prosimy prelegenta aby całą Polskę objechał ze swymi odczytami, i aby jaknajprędzej ukazał się drugi nakład jego świetnej książki o współczesnych Niemczech „Ziemia gromadzi prochy”. Wrzesień — jak mi odpowiedziano w księgarniach, na pytanie kiedy będzie drugi nakład, to za daleko. Chcemy tę książkę mieć w setkach tysięcy egzemplarzy, we wszystkich językach, aby wszędzie poznano prawdę o Polsce, aby dotarła ona do wszystkich ludzi ziemi!

Dwutygodnik „Zakopane” rozpoczął druk wierszy górskich wybitnych poetów polskich. Cykl otwierają w dwóch po sobie następujących n-rach wiersze Tadeusza Bocheńskiego i Janiny Brzostowskiej. Bardzo dobra myśl — zrealizowanie jej będzie mogło stworzyć rodzaj „nowej antologii poezji tatrzańskich”.

KUPON PLEBISCYTOWY

== „S K A W Y” ==

Kto pragnie z pismem wejść w kontakt, musi je przedewszystkiem zaprenumerować!

**ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 23 m. 5 TEL. 9-55-88**

Ceny ogłoszeń: cała stronica poza tekstem — 250 zł. w tekście — 300 zł., jeden milimetr szer. szpalty — zł. w tekście i poza tekstem.

841 Drukarnia Ekonomiczna, Józef Kubiak i S-ka, W-wa, ul. Leszno 20. Tel. 11-48-33

P.I
298

DRUKARNIA
EKONOMICZNA
J. KUBIAKIS-KA
WARSZAWA
UL. LESZNO 20
TEL. 11-48-33

841